

DZIEWCZYNA  
NIE Z TEJ  
ZIEMI

Wisienka miała złote włosy, obficie spadające na ramiona. W kąciakach jej kształtnych, pełnych ust czaił się jakiś tęskny uśmiech. Ale któż by odgadł, że czaił się tam właściwie cały świat — ten, którego nie znała.

Dziwna była historia tej dziewczyny. Wiosna za wiosną mijała, odkąd przyszła na świat, nie będący zwykłym światem ludzi. Dwudziesty piąty jej maj rozkwitał właśnie na Ziemi milionem kwiatów, z których żadnego nigdy nie dotknęła miękką dłońią, dzwonił muzyką ptaków znajomych jej tylko z opowiadań, rozwiewał pędzone wiatrem obłoki, które puszonym całunem układały się zaledwie w jej wyobraźni...

☆

Ziemia od paru tygodni przestała być gwiazdą. Świeciła nadal w aksamitnej, czarnej czaszy nieba, ale z dnia na dzień jej szeroki sierp pulchniał jak obarzanek w piecu. Był już ogromny, wypełniony do połowy tarczy, pocięty zamglonymi zarysami czegoś, co przypominało oryginalną mapę. Rogi tego sierpowatego półkola wydłużały się niewielkimi rdzawoczerwonymi ramionami, które zamykały okrąg, jakby tułac do siebie czarną wnękę.

Lśniącobiwały pojazd międzyplanetarny tym razem musiał pomieścić niemal dwukrotnie zwiększoną załogę. W drodze z Marsa na Ziemię zabrano bowiem przypadkowo odkrytych rozbitków kosmicznych.

— Przekroczyliśmy już strefę aktywności — odezwał się nagle Beningsen, drugi nawigator rakiety, i swobodnie opuścił wyciągnięte ramię wraz z trzymanym przyrządem.

Kilka par oczu podniosło się pytająco na rosnącego Norwega. Gdy stojący obok młody Serb jako tako przetłumaczył to na język polski, Wisienka zapytała naiwnie:

— O czym mówisz?

— O Ziemi. Z pomiaru kątowej wielkości jej tarczy wynika, że przybliżyliśmy się do Ojczyzny na niecały milion kilometrów. W tej odległości jej przyciąganie jest silniejsze od Słońca.

Usłyszawszy te słowa, powtórzone w jedynym zrozumiałym dla niej języku, Wisienka uczuła, jak serce mocniej bije jej w piersiach.

— Jutro wylądujemy pod modrym niebem — zauważył siedzący naprzeciw dziewczyny szpakowaty astronom.

Wisienka machinalnie wyjęła lusterko, stłuczone przez pół od czasu, gdy bawiła się nim w dzieciństwie. Uważnie analizowała swoje oczy. Matka mówiła jej nieraz, że są koloru ziemskiego nieba, choć w rzeczywistości miały odcień bardziej stalowy.

☆

Czerń nieba przeszła w głęboki granat, a ten z kolei przetapiał się w szafir, błękitniący z każdą sekundą. Wysokie białe obłoczki jakby oderwały się od oceanu i wznosiły ku górze. Równocześnie przybliżał się szeroki, zieleniejący pas lądu z kolorowymi plamami miast i osiedli.

Ostatnie chwile w przestworzu ogarnął bez reszty ryk motoru. Pojazd gwałtownie wytracał prędkość, pasażerowie przywarli do elastycznych foteli, czując

nieprzyjemny ciężar, przygniatający ich na całym ciele. Potem wszystko ustało i ściana kabiny rozsunała się bezszelestnie. Od betonowej płyty lotniska raketowego dzieliło kosmonautów już tylko 9 szerokich stopni.

Po ustaleniu, iż uratowani rozbitkowie są Polakami, połączono się drogą radiową z Warszawą. Komunikacyjny pojazd na tej trasie miał bowiem odejść dopiero za 4 godziny.

Prawie natychmiast Warszawa doniosła depeszą radiową, że żądana rakietę właśnie startuje i za 27 minut należy jej oczekiwać w Kalkucie.

☆

Dziennikarz z „Nowin Astronautycznych” i dziewczyna stali naprzeciw siebie. Ona wstrząśnięta burzą wrażeń, doznań i krajobrazów, onieśmielona poznaniem tyłu „normalnych” ludzi, a on wpatrzony przez chwilę w te oczy chciwe światła, naiwnie zdziwione każdym widokiem, które jeszcze przed godziną nie znały błękitu nieba, lazuru morza, zieleni drzew.

Podczas gdy tłumacze i kilkunastu miejscowych dziennikarzy otoczyli pozostałych troje rozbitków, Andrzej zdobywał skąpe wyjaśnienia dziewczyny.

Skonstatował z zadowoleniem, że choć chwilami brakuje jej słów, mówi zupełnie płynnie.

— Cóż dziwnego? — zaśmiała się Wisienka. — Gdybym nie rozmawiała w tym nudnym życiu tam — wskazała ręką w niebo — to bym chyba oszalała. Mówiło się o wszystkim, czego nie znałam. O Ziemi...

— O Warszawie też? — wtrącił Andrzej.

Oczy dziewczyny zamigotały.

— O Warszawie? Moja Ojczyzna...

Dziennikarz nie wyjaśnił, że „ojczyzna” oznacza Ziemię jako planetę albo kraj rodzinny. A Warszawa — to miasto.

— Może wobec tego polecimy — zaproponował. — Oprowadzę cię po Warszawie. Dużo się w niej zmieniło. Ach, prawda, przecież ty jej nigdy nie widziałas.

Wisienka roześmiała się.

— Widziałam Ziemię gwiazdą, a znałam ją z obrazków. Poza tym wszystko odkrywam dopiero teraz.

— No więc? Polecimy?

To także było dla dziewczyny wielką nowością. Propozycja młodego człowieka, aby polecieć daleko, o tysiące kilometrów stąd. Polecieć do Warszawy...

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że śni. Świat wydawał jej się przesycony barwami i upojony radością. Z naiwnym uśmiechem podawała twarz pod ciepłe blaski Słońca i miała uczucie, że z tą promienną jasnością tropikalnego południa wstępuje w nią nowe życie; że wszystkie jej lata były przygotowaniem tego dnia, w którym narodziła się drugi raz. Z ciekawością dziecka zadarła głowę i trzymała ją tak przez dłuższą chwilę. Potem wzrok Wisienki zesłiznął się z soczystego szafiru nieba poprzez zielony widnokrąg na opaloną i uśmiechniętą twarz dziennikarza. Duże, jasne oczy Andrzeja wydały jej się wypełnione tajemniczą wiedzą o życiu, którego nie znała, wnikliwym pojmowaniem spraw, które pozostawały dla niej w kręgu niepewnych marzeń i nie skryształizowanych domysłów.

Andrzej wystarał się o dwuosobową raketę sportową. Stańło na tym, że Wisienka spotka się ze swą matką za 3 godziny w kawiarni Starego Pałacu Nauki i Kultury w Warszawie.

☆

— Jak długo będziemy lecieli? — spytała dziewczyna.

— 23 minuty... Czy masz zdrowe serce? — podjął Andrzej po krótkiej chwili.

Nie wiedziała. Od 20 lat nikt nie badał stanu jej zdrowia.

— Gdyby ci było niedobrze, to powiedz — rzucił dziennikarz z troską w głosie. — Wtedy zmniejszę przyspieszenie.

— Czuję się wybornie — oświadczyła cicho.

Niebo poczerwieniało, zapalając iskry gwiazd świe-

ciągących obok Słońca. Lecieli gdzieś na pograniczu atmosfery, wznosząc się jeszcze łagodnym łukiem. Skurczony horyzont Ziemi wygiął się w lekki pałąk.

— Nasza rakieta towarowa — ciągnęła Wisienka zaczęta na lotnisku opowieść — wiozła pełne wyposażenie w żywność dla niedawno założonej bazy kosmicznej na jednym z księżyców Jowisza.

Andrzej lekko zmarszczył brwi, jak gdyby chciał rozniecić płomyk pamięci z popieliska rzeczy zasłyszanych dawno temu.

— Zaraz, zaraz... Tu chodziło o załogę „Ganimeda”? A twoja rakieta nazywała się?... Zapomniałem.

— „Błyskotka” — odpowiedziała Wisienka.

— Tak, teraz pamiętam. Zaginęła bez wieści. Uważaliśmy was za poległych na posterunku. Kłębami dymnych kwiatów na niebie Warszawa składała ostatni hołd waszej pamięci. Byłem dzieckiem, ale gdy patrzę na ciebie, zdaje mi się, że jeszcze słyszę huk armatnich salw.

Wisienka zmieszana się trochę. Szybkim ruchem odgarnęła spadające lekko na skroń kędziory i rzuciła z przejęciem:

— Czy tamci... przeżyli?

— Kto? — zapytał ze zdziwieniem dziennikarz.

— No... załoga na „Ganimedzie”. Myśmy im wieźli żywność.

— Ach, naturalnie — odparł Andrzej z ożywieniem, aby nadać swoim słowom ton kompletnej pewności. — Po waszej katastrofie wysłano podobną rakietę, która dotarła szczęśliwie. A w tamtej bazie mieli żelazny zapas na całe lata, aczkolwiek w syntetycznych koncentratkach.

Dziewczyna odetchnęła z ogromną ulgą.

— Ale co do tej katastrofy — podjął po chwili Andrzej — teraz ty opowiadaj. Czy w ogóle ulegliście katastrofie? Konkretnie wiemy tylko, że wasza stacja radiowa umilkła.

Wisienka, z ciekawością oczu, dopiero otwartych na zmieniające się ziemskie widoki, pochyliła głowę ku masywnej szybie. Poza nią w dole usuwała się w tył Ziemia niby płaskie cielsko olbrzyma z kolorowymi plamami, upstrzona gdzieniegdzie dodatkowo białymi plackami obłoków. Wisienka przerzuciła wzrok na Andrzeja.

— Ten wypadek jest najdawniejszym moim wspomnieniem. Miałam 4 lata i bawiłam się z nawigatorem, który bardzo mnie lubił. Nazywał mnie papużką... pewnie dlatego, że powtarzałam każde słowo. Ro-

dzice jeszcze nie wstali. Pamiętam tylko okropny wstrząs. Nasz nawigator wziął mnie na barana i tańczył, przyspiewując jakąś najnowszą piosenkę przekazaną z Ziemi. Zwalił się jak długi na podłogę. Ja nabiłam sobie porządnego guza i rozraniłam rękę, ale poza tym nic mi nie było. Dokładniej opowiedziałaby ci o katastrofie mama albo dwaj pozostali członkowie załogi, którzy przylecieli ze mną...

— Ale wiesz, co spowodowało katastrofę? — przerwał dziennikarz.

— Wiem — odpowiedziała Wisienka. Meteor uderzył w tył rakiety, rozbijając betonowe osłony stosu i zbiorniki wodoru. Ponadto kompletnemu zniszczeniu uległo urządzenie radiotelewizyjne. Nie mogliśmy już ani kierować pojazdem, ani nadawać wezwania o ratunek. Niestety, nie pobraliśmy w drogę żadnych zapasowych nadajników, nawet o krótkim zasięgu. W jednej chwili byliśmy bezbronni, ślepi i głusi w stosunku do Ziemi, świecącej tuż przy Słońcu z którymś z gwiazdozbiorów niebieskiego Zwierzyńca.

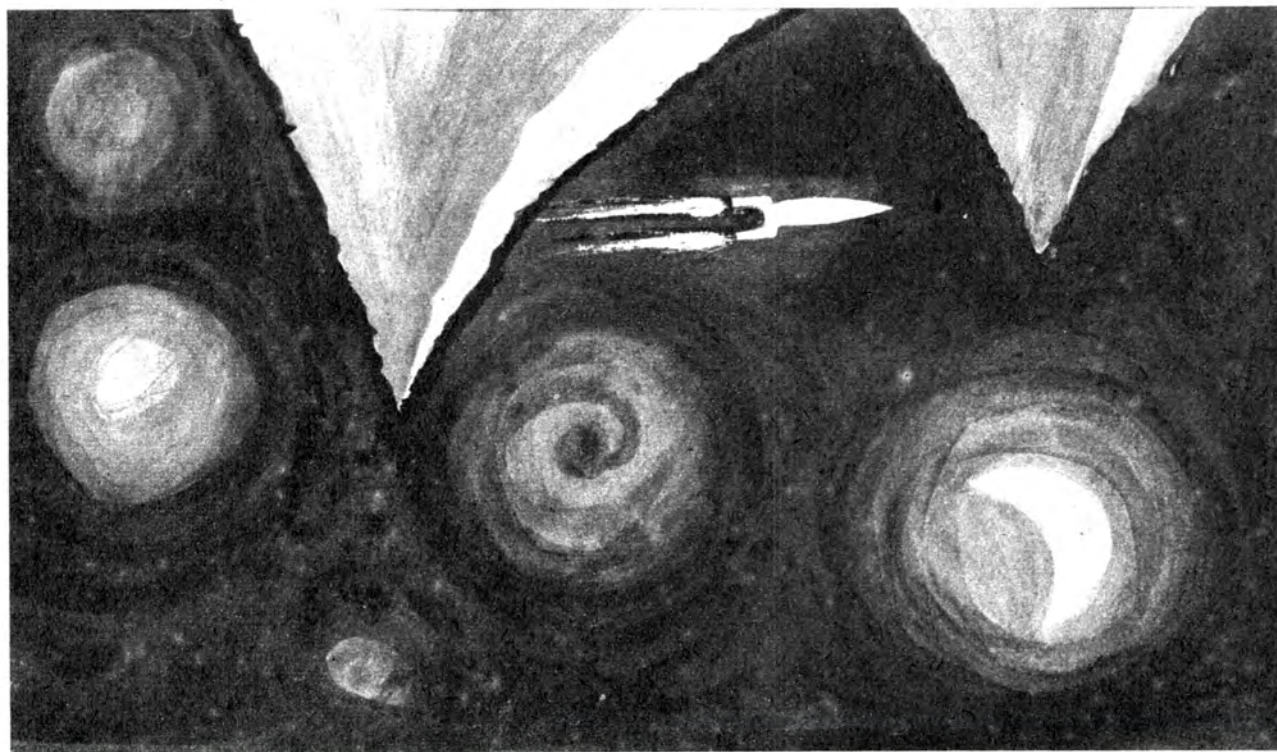
— Czy meteor zupełnie przepołuwił raketę?

— Nie. Niektóre konstrukcje, zbudowane z materiałów szczególnie twardych i żaroodpornych, oparły się działaniu eksplozji. Stos atomowy, zupełnie zresztą potrzaskany, wisiał niby na żerdziach, a my straciliśmy zabezpieczenie przed jego śmiertcionośnym promieniowaniem. Usunięcie prętów kadmowych również nie rozwiązywało sytuacji, bo pokręcone i częściowo nadtopione sztaby z plutonu promieniowały na wszystkie strony. Trzeba było przepiłować pogięte strzępy metalu, na których trzymała się nieużyteczna już reszta pojazdu, grożąca zakażeniem radioaktywnym.

Wisienka otarła natarczywą łzę kącikiem chusteczki. Po chwili podjęła przerwane opowiadanie.

— Mój ojciec wziął tę robotę na siebie. Był lekarzem, więc dobrze wiedział, jak bardzo się naraża. Zapewne dlatego nie dopuścił niczyjej pomocy, co by znacznie skróciło wykonanie roboty. Niedługo potem zapadł na chorobę promieniową, z której się nie wyliczył. Nie pamiętam go zupełnie... Te salwy, którymi uczciliście poległych na posterunku — dodała ciszej — to były dla niego... — Nasz nawigator mówił potem, że ten fatalny meteor, który leciał z prędkością nieprzewidzianą dużą, i dlatego nie zdążyliśmy go wyminąć, był wielkości grochu. Nigdy nie chciałam w to uwierzyć.

Znad sterowniczych przyrządów Andrzej znów przeniósł wzrok na Wisienkę. Obserwował ją przez chwili-



lę z ciekawością paleontologa, który odnalazł relikty zabłąkany z innych, zamierzających epok. „Dziewczyna nie z tej Ziemi...” — pomyślał.

Zbliżyli się do granic Europy. Wisienka kontynuowała swoją dziwną opowieść.

— Kiedy już dorosłam, mówiło się wprawdzie o rakunko, o odszukaniu nas, mówiło się codziennie, bo bez tego życie byłoby nieznośne. Ale nikt nie uważał, że to musi nastąpić.

Wisienka głęboko odetchnęła.

— W największej nadziei i tym boleśniejszym rozczarowaniu właściwie nie brałam udziału, miałam wtedy niecałe 6 lat. Było to w czasie pierwszego wejścia w układ Jowisza. Zaczęło się od obawy zderzenia z tym olbrzymim planetarnym lub któryś z jego satelitów. Gdy to minęło, mogliśmy spodziewać się radarowego wykrycia nas przez jedną z baz bądź przez jakąś raketę. Trudno było stawiać na teleskopy optyczne, wobec pozabawienia wszelkiej możliwości świetlnej sygnalizacji.

— A czy do Ziemi nie zbliżyliście się na odległość mogącą wróżyć rozpoznanie? — zapytał dziennikarz.

— Nie. Obydwa razy osiągnęliśmy orbitę naszej Ojczyzny w nieodpowiednim czasie tak, że nie mogliśmy bez lornetki nawet odróżnić jej tarczy. Świeciła nam tylko jako bardzo jasna gwiazda.

Wisienka zamyśliła się przez chwilę.

— W czasie przenikania pierścienia planetoid także liczyliśmy się z możliwością zauważenia nas przez jakąś ekipę, badającą szczątki życia, kwitnącego ognis na jednej z dwóch planet, które uległy zderzeniu. Prawdopodobieństwo zcalenia na tej drodze było zresztą nikłe. No i zawiodło.

— Uwaga, włączam silnik! — zabrzmiał spokojny głos Andrzeja.

Zniknęło uczucie nieważkości, ciężar ciała zaczął gwałtownie wzrastać.

— Gdzie jesteście? — spytała Wisienka z wysiłkiem.

— Lecimy nad Ukrainą. Trzy minuty do Warszawy.

☆

Czarny, a potem granatowy przestwór dość szybko pobłąknął. W modrej otchłani topniały gwiazdy jedna za drugą, aż świecące tło nieba wchłonęło białą błyszczącą Wenus. Pozostało Słońce odarte z korony, sierp młodego Księżycy i kilka sztucznych satelitów.

— Czy silnik się popsuł? — zapytała dziewczyna z przestachem w oczach.

— Bynajmniej — odparł Andrzej uspokajająco. — Stoimy 800 metrów nad ładowiskiem rakiet. Musimy poczekać chwileczkę na sygnał wolnego wjazdu. Stąd masz okazję jednym spojrzeniem ogarnąć Warszawę. To, co zwiędzimy później, stanowić będzie tylko pewne wycinki działalności ludzkiej w naszym pięknym mieście.

— Czemu niektóre gwiazdy nie zgasły? — dziwiła się dziewczyna. — O, na przykład ta, taka szybka. To pewnie planeta...

— Nie, Wisienko — odparł dziennikarz. — To wszystko sztuczne księżycy.

— Aha, wiem — odparła. — Jest ich zdaje się bardzo dużo?

— O, tak — potwierdził Andrzej. — Gołym okiem widzimy tylko niektóre, duże i bliskie.

Z kolei zainteresowanie Wisienki wzbudziła Ziemia. W dole tuż, tuż rozciągało się niby na olbrzymiej makielicie wielkie, przepyszne miasto — Warszawa, októrej słyszała od matki, a przecież dotąd nie potrafiła jej sobie wyobrazić. Dla mieszkanki rozległych kosmicznych przestworzy pojęcie miasta było tylko urokiem niedotykalnej legendy.

— To są domy — spytała nagle — w których mieszkają ludzie?

Otrzymawszy potwierdzenie dodała:

— A co jest tam? Taka niebieska wstęga, trochę kręta, obramowana zielenią... Też jakieś domki na niej, zdaje się, że i ludzie.

— To Wisła — brzmiała odpowiedź. — Rzeka Wisła. W jej rzeźwicych wodach, latem nie ogrzewanych, kąpią się tłumy warszawiaków. Głównym nurtem płyną statki wycieczkowe. Wokoło zieleń parków, tereny sportowe... A tam, patrz, za tym wielkim sta-

dionem, ogrody botaniczne, zoologiczne, w których lokalna regulacja pozwala roślinom i zwierzętom, pochodzącym zarówno z krajów tropikalnych jak i polarnych, przez cały rok czuć się na świeżym powietrzu jak u siebie w domu.

Dziewczyna patrzyła w dół. Ta połać ziemi pod nią przypominała jej wielką mapę, tym bardziej że mapy znała z atlasu geograficznego, znajdującego się w jej rękawie i studiowała je wielokrotnie — w tym dziwnym świecie, który charakteryzował beznadziejny nadmiar czasu. Stereotypowe kolory z atlasu, pomalowane pędzlem przyrody na pejzaż żywych odcieni, igrały w blaskach słońca świetnym, wzorzystym koblercem. Ludzie, mniejsi od mrówek, upstrzyli ten widmowy krajobraz maleńkimi, ciemnymi punkcikami, z których każdy przedstawiał własny, odrębny świat myśli i poczynań, jakąś własną ułność, wiarę i prawdę.

W myślach Wisienki właśnie ta świadomość urastała do rangi wielkiego symbolu, który ogarniał sedno jej własnego istnienia. Rozumiała intuicję wyostrożną w czasie tylu lat nie kończących się rozmyślań, że przecież jej życie w gwiazdzistym niebie upłynęło poza burzą areny wydarzeń charakteryzującej każde normalne życie. Ze nawet marginesowo nie uczestniczyła w nurcie najprostszych, codziennych spraw, rzeźbiących kształt człowieczeństwa.

— Jednak powietrze ziemskie jest bardziej przezroczyste, niż sobie wyobrażałam. A miasto przedstawia stąd wrażenie aż lśniącej czystości — zauważyła po dłuższej chwili.

— Nie tylko stąd — uśmiechnął się dziennikarz. — Chociaż we wszystkich dziedzinach postęp doprowadza do udoskonalenia, trudno sobie wyobrazić zwiększenie stopnia czystości Warszawy. I nie tylko Warszawy — w ogóle miast. Co trzecią noc rześisty prysznic deszczu zmywa wszelki brud, choć mówiąc prawdę — nie ma czego zmywać. Szeroka sieć elektrycznych filtrów powietrznych niemal całkowicie wchłania kurz i pył.

— Co trzecią noc? — zastanowiła się Wisienka. — Włec to jest sztuczny deszcz?

Andrzej zawahał się przez chwilę.

— I tak, i nie. Naturalny o tyle, że pada w wyniku skroplenia się pary wodnej w atmosferze. A sztuczny, no tak, bo kierowany wolą człowieka. Jak większość procesów przebiegających w przyrodzie naszej planety. A zwłaszcza procesów meteorologicznych.

☆

I znowu Ziemia — kotłowała się w głowie dziewczyny, gdy mijali teren portu lotniczego, kierując się ku miastu. Ziemia, którą w myślach widziała zawsze jak okrągłą, futbolową piłkę, okrążającą w zawrotnym pedzie tak samo okrągłe, tylko większe Słońce.

Pierwszy dzień zetknięcia się z twardą powierzchnią globu nakłaniał ją przywyknąć do tego, co każde dziecko wychowane na Ziemi musiało w wieku szkolnym przełamywać w sobie: że Ziemia sprawia wrażenie płaszczyzny. W przeciwieństwie do wszystkich ludzkich pokoleń — dla Wisienki, od kiedy zaczęła myśleć, kulistość ojczystej planety była oczywistym faktem, popartym wrażeniem zmysłów. Jakże mogło być inaczej, skoro przeszło dwadzieścia lat oglądała ją z zewnątrz, z dalekiej łupiny obserwacyjnej, zagubionej w pustce Kosmosu. Ogarniała Ziemię jednym spojrzeniem — jasny ognik w kurzawie gwiazd na sklepieniu czarnej otchłani. Wyobrażenie kuli, odpowiadającej pełnej czasy nieba otaczającego ją z wszystkich stron, było dla Wisienki najbardziej namacalnym pojęciem geometrycznym. Natomiast płaszczyzna ograniczała się w jej realnym polu widzenia do okrągłego blatu stołu. Bo nawet ściany pomieszczeń „Błyskotki” stanowiły powierzchnię boczna walca, aby dzięki sztucznej przyciąganiu, wywołanemu obrotem rakiet wokół jej osi podłużnej, można było swobodnie po nich chodzić, nie znając pojęcia podłogi i sufitu.

Wisienkę najbardziej dziwiły „świecące bariery”, które oddzielały jezdnię od chodnika.

— Czy ktoś zapomniał je zgasić? Przy świetle Słońca są przecież zbyteczne?

— Nie, nikt nie zapomniał... — uśmiechnął się Andrzej.

— Szkoda energii elektrycznej — przerwała Wisienka impulsywnie.

— Bynajmniej — odparł spokojnie dziennikarz. — Pozostawiliśmy już za sobą czasy, kiedy miasta oświetlane były lampami jarzeniowymi, czerpiącymi prąd z elektrowni atomowych. W tych urządzeniach, które widział, energia rozszczepienia jądra atomowego działa „na miejscu”, pobudzając do świecenia substancję, spełniającą rolę tzw. luminoforu. Lampa świeci i w dzień, ale to nie kosztuje. Może świecić nieprzerwanie miliony lat.

Z obu stron szerokiej alei strzelały smukłe pnie eukaliptusów, których korony górowały nad dachami domów. Małe samochódki atomowe lekko i bez wstrząsów zdawały się płynąć wzdłuż fosforyzującej białym światłem grubej linii, nieprzerwanym węzłem ciągnącej się po jezdni. Elektryczne oko mechanicznego kierowcy tak niezawodnie reagowało na świetlne sygnały, że Andrzej po ustawieniu trasy mógł swobodnie opowiadać Wisience historię mijanych dzielnic i przeznaczenia ciekawszych obiektów. Raz po raz ulice nurzały się w soczystej zieleni parków i skwerów, tu i ówdzie przyozdobionych pięknymi pomnikami synów różnych krajów, którzy zaskarбили sobie kącik czci i miłości w sercach ludzi.

— A to co? — spytała Wisienka, wskazując ręką coś w rodzaju ogromnego dysku, osadzonego wysoko na masywnym postumencie.

— Siłownia słoneczna — odparł dziennikarz. — Jedno z wielu urządzeń warszawskiego zespołu izoklimatycznego. Pędzona energią promieni słonecznych, może służyć za pług, bądź lodówkę.

— Nie rozumiem.

— Czy wiesz — spytał Andrzej — że istnieją maszyny elektryczne do gotowania wody, natomiast inne ją zamrażają?

A gdy Wisienka potwierdziła, ciągnął:

— Podobnie jest z tymi siłowniami, przy czym są one wyregulowane na punkty krytyczne 22° i 30°. Przy temperaturze powietrza, zawartej w tych granicach, działają jak małe elektrownie zasilając w prąd przydzielone sobie obiekty, które na ten czas wyłączają z sieci głównej. Natomiast gdy jest zimniej, ogrzewają, a gdy cieplej — chłodzą. Sto kilkadziesiąt takich siłowni na terenie Warszawy może zmienić temperaturę w mieście o 4°. Oczywiście są one tylko pomocniczym czynnikiem regulowania klimatu... Ale oto jesteśmy na miejscu.

☆

Weszli do dużego gmachu, siedziby redakcji „Nowin Astronautycznych”.

Wisience dziwna wydała się pustka panująca w lokalu tego poważnego czasopisma. Andrzej sam? A z nim przyjechał, w ogóle nikogo nie było. Jak i kiedy przygotowują materiał do numeru?

Andrzejowi te wątpliwości wydały się śmieszne.

— Jest nas czterech, ale oczywiście nigdy nie rozsiadamy się tutaj ani nie nazywamy siebie szumnie redaktorami, jak to kiedyś było w zwyczaju. Piszemy artykuły, a prócz tego mamy mnóstwo czasu na inne prace i rozrywki. Korzystamy z współdziałania rozległej sieci czytelników...

— Aha... I oni za was pracują? — wtrąciła dziewczyna niepewnie.

Andrzej wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Ale skądże, Wisienko. Nadsyłają nam materiały, ot i wszystko. Całą pracę techniczną wykonują automaty. Segregują pocztę, tłumaczą obcojęzyczne teksty, wybierają rysunki i winiety. Natomiast do nas należy rola kierownicza. Człowiek stworzył maszyny, które mu służą za tłumaczy, rachmistrzów, bądź obserwatorów. Ale żadna maszyna nie odbierze nam, twórcom cywilizacji, naszej człowieczej roli. Żaden choćby najprecyzyjniejszy automat nigdy nie uczyni człowieka niepotrzebnym.

Po chwili Andrzej dodał:

— Nasze pismo pamięta zgoła inną sytuację. Kiedy powstało w 1957 r., zatrudniało cały aparat ludzi, którzy mieli pełne ręce roboty. Maszynistki przepisywały brudnopisy, redaktorzy wybierali teksty i zdjęcia, następnie łamali kolumny... Nawet listy płacy — bo wtedy jeszcze istniały pieniądze — sporządzane były ludzką ręką.

☆

Trzydziestometrowy węgorz głębinowy świecił na całym ciełe i ciskał przed siebie snopy blasków. Wznosząc się to znów opadając, chwilami jakby stawał dęba, oparłszy ogon o muliste dno, i wtedy przypominał kobrę w pozycji zaczepnej.



— To najdłuższe cielsko na Ziemi zostało odkryte dopiero w drugiej połowie XX wieku. Przedtem niektórzy uczeni przewidywali jego istnienie na podstawie wylawianych od czasu do czasu larw tej gigantycznej, drapieżnej ryby — wyjaśniał Andrzej.

Mimo wspaniałości bujnej przyrody głębin morskich, Wisienkę uderzyło co innego.

— Jak odbywa się transmitowanie tej audycji?

— Audycję telewizyjną, nadawaną z bazy podmorskiej, wybudowanej na czterokilometrowej głębokości Morza Sargasowego, transmituje nam sztuczny księżyc, stojący nieruchomo pod Afryką równikową.

Wisienka entuzjasmowała się coraz bardziej. Miała ochotę klaskać w dłonie.

— Ależ to wspaniale: siedzieć na miejscu, a jednakże zwiedzać wszystko, co się chce. Czy muzeum ma jeszcze dużo sal?

— Oo... — Andrzej poruszył głową, jakby chciał powiedzieć, że nie pamięta, ile.

— Pokazałem ci może najciekawsze — ciągnął. — Zwiedzenie wszystkich, nawet wygodnym systemem,

jest niemożliwe jednorazowo. Teraz przerzucmy się do Warszawskiej Siłowni Atomowej.

Za nakręceniem dwóch cyfr na przyrządzie nieco przypominającym dwudziestowieczną część aparatu telefonycznego, ekran zmienił swoje oblicze.

Olbryzi reaktor atomowy, z góry przypominający kształt garnka nakrytego lśniącym srebrzystym wiekiem, długimi rzędami zwisające sztaby ze stopu plutonu, zapasowe pręty kadmowe, zbiorniki z ciężką wodą — wszystko to wywierało na Wisienkę wstrząsające wrażenie. Nie zastanawiało ją nawet, dlaczego mijając w telewizyjnym spacerze, jedną za drugą, przestronne, błyszczące czystością hale, nie spotykają żadnego człowieka. Mało tego — gdyby zwracała więcej uwagi na szczegóły, mogłaby zauważyć, że wejście do Warszawskiej Siłowni Jądrowej jest zaryglowane i nic nie wskazuje, aby ingerencja ludzi należała tam do zjawisk codziennych.

Umysł dziewczyny zaprzątnęło co innego. Pierwszy raz zetknęła się twarzą w twarz z tą przejmującą siłą drżącą w samym sercu materii, której wyzwolenie i ujarzmienie zadecydowało o obliczu nowoczesnej cywilizacji. Nie było to dla niej niespodzianką. Wiedziała przecież, że energia jądrowa i termojądrowa stanowi główne, niemal wyłączone źródło mocy energetycznej produkowanej przez ludzkość, że od dziesiątków lat człowiek zrezygnował z marnotrawienia paliw chemicznych, miliony razy mniej wydajnych. Ale dla Wisienki ta sprawa kojarzyła się z najbardziej osobistymi wspomnieniami. Gdy patrzyła na wielkie automatycznie pracujące agregaty siłowni jądrowej, wspomnienia przenosiły ją w daleki czas, w bez troskie lata dzieciństwa. Katastrofa, której wagi nie potrafiła wtedy pojąć... Choroba ojca... Wreszcie jego śmierć...

Potrzeba było lat, aby należycie oceniła tamte wydarzenia. Wtedy potęga rozszczepiania jąder atomowych stała się w kręgu jej subiektywnych odczuć siłą brutalną i złowrogą. Kojarzyła ją zawsze ze spokojną, dobrotliwą twarzą ojca, jaką zapamiętała z łóżka śmierci. Teraz z tym samym pogodnym uśmiechem, skamieniały kosmicznym mrozem, krąży gdzieś po bezdrożach śródniebnej pustki...

☆

Andrzej spojrział na zegarek.

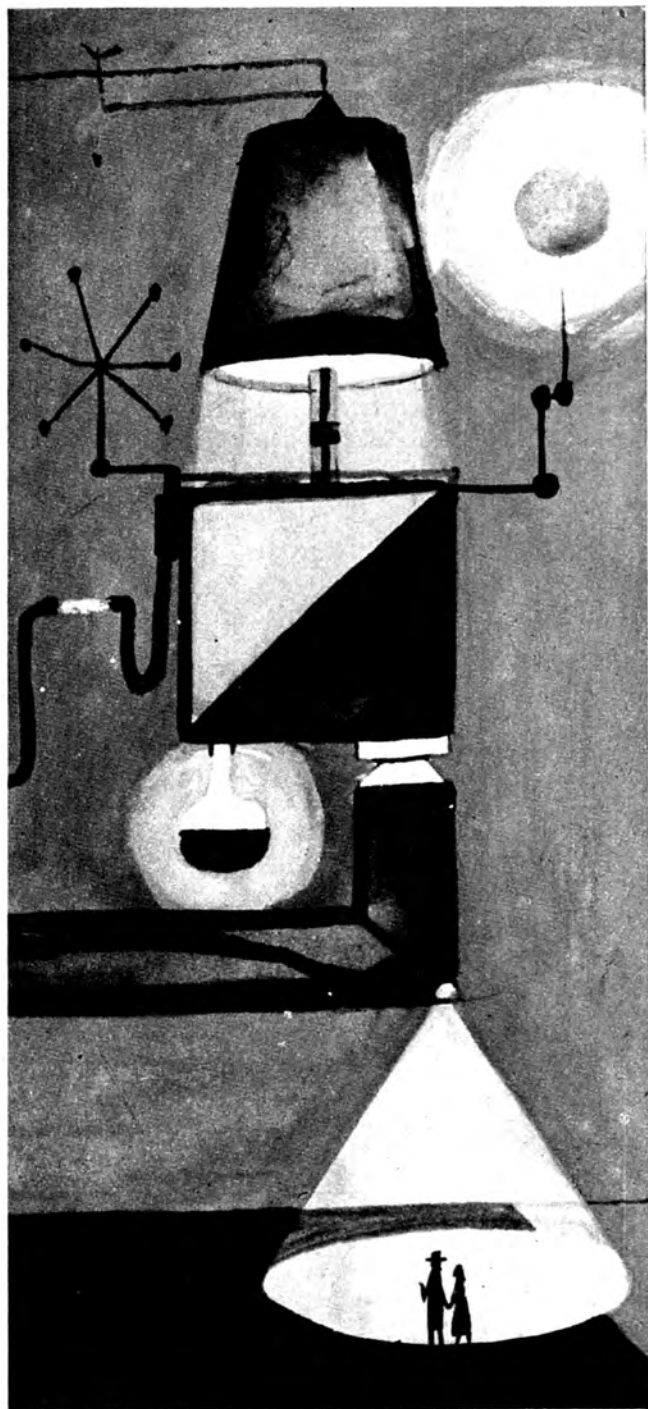
— Mamy już niewiele czasu. Umówiłaś się z matką na godzinę 18 w kawiarni Starego Pałacu Nauki i Kultury, zaraz cię tam odwożę. Ale przedtem sięgnij wzrokiem w przyszłość. Wszyscy żyjemy dla niej. Bez troski o nią, bez serdecznego odczuwania jej — człowiek byłby podobny do ślepego.

W szybkim tempie zjawiały się i mijały obrazy tego, co myśl ludzka zrodziła dziś, a jutro czyn ucieleśnioną błyskotliwą fantazją. Czego tam nie było. W oparciu o współczesne osiągnięcia techniczno-badawcze obrazy, rzeźby, rysunki, plansze i wykresy ilustrowały naddążający nurt niepewstrzymanej rzeki cywilizacyjnego postępu.

Raz po raz Wisienka, której nasuwały się różne wątpliwości, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wtedy zapytywała, czy coś takiego kiedyś będzie spełnione.

A obrazy przelatywały jak rój stubarwnych motyli, coraz śmielsze, coraz bardziej zaskakujące.

— Ta maszyna do czytania myśli — objaśniał Andrzej — prawdopodobnie zostanie zbudowana już w naszym stuleciu. Na to potrzeba poznać finezję pracy mózgu w stopniu jeszcze większym niż obecnie. Bo przecież myśl jest funkcją mózgu, wywołaną przez procesy elektryczne w nim zachodzące. Od połowy XX wieku potrafimy mierzyć zmienne natężenie tych słabutkich prądów elektrycznych, obecnie zaś dojrzał czas, aby pokusić się o ich odczytywanie. Rzecz jasna, że wynalazek ten będzie służył rozwojowi naszej wiedzy o procesach psychicznych ludzkiego organizmu, a nie wykorzystamy go na przykład do podchwytania cudzych myśli z ciekawości. Podobnie jak obrazy, które teraz widzisz, są nieme, aby nie zdradzić tajemnicy osobistych rozmów ludzi, zwiedzających muzeum. Widzisz ich twarze, nawet poruszenia ust — ale nic więcej.



Po wspaniałych wizjach dalszego przeobrażenia oblicza ojczystej planety, jeszcze głębszego wdzierania się w jej gorące wnętrza i uzależniania klimatu od woli człowieka, rozszerzenia sztucznie konstruowanego życia na formy wielokomórkowe o bardziej zróżnicowanej budowie organizmu — przyszły obrazy ilustrujące ujarzmienie przyrody innych globów. Widoki kosmicznego nieba rozniecały w sercu Wisienki burzę wspomnień. Tam, w pustce nieograniczonej, bez kontaktu z Ziemią, upłynęły wszystkie te lata, które miała poza sobą.

— Co nastąpi wcześniej; przystosowanie Wenus do zamieszkania, czy też podróże międzygwiazdne? — rzuciła pytanie dziewczyna, wpatrzona w obraz wielkiego statku kosmicznego, lecącego w kierunku podwójnej gwiazdy Tolimaka z prędkością 60 tysięcy kilometrów na sekundę.

— Wyprawy międzygwiazdne — odparł Andrzej bez namysłu. — Jeśli chodzi o dostosowanie przyrody innych planet do zamieszkania tam człowieka pod gołym niebem, przedsięwzięcie jest niezwykle skomplikowane. Ponadto wymaga ono długiego czasu, przy dzisiejszych warunkach technicznych — całych wieków. Natomiast ku układom planetarnym innych gwiazd polecimy przypuszczalnie najdalej za 100 lat. Dziś na przeszkodzie stoi jeszcze problem energetycznego spożytkowania wystarczająco dużej części masy spoczynkowej materii, aby osiągnąć kolosalną prędkość pojazdu. Cała podróż tam i z powrotem nie powinna bowiem trwać dłużej niż kilkadziesiąt lat.

— Za 100 lat... — powtórzyła dziewczyna na wpół do siebie. — A więc ja na pewno nie polecę — dodała po chwili z nutką żalu.

— Gdybyś pracowała naukowo i bardzo chciała wziąć udział w pierwszej wyprawie międzygwiazdnej, to czemu nie — rzucił wolno Andrzej. — W każdym razie możesz mieć szanse.

— Za 100 lat? — zdziwiła się. — Jeśli nawet dożyję, czyżbym miała dość sił fizycznych i umysłowych na owocną pracę, czy starczyłoby mi życia, aby powrócić na Ziemię?

Dziennikarz przekreślił kolejny numer na tarczy i odparł z triumfem:

— Spójrz. Nasza medycyna ma przecież także coś do powiedzenia.

Wisienka patrzyła przez dłuższą chwilę na obrazy, krzepiące serce śmiałością skutecznych zmagañ z najbardziej zaborczym wrogiem człowieka — ze śmiercią. Oczy jej rozszerzyły się w zachwyconym zdziwieniu.

Tego była za wiele, jak na pierwsze zetknięcie ze światem, który wymarzyła całym swym życiem, ale przecież nie rozumiała go jeszcze. Dziewczyna przygryzła wargi, żeby się upewnić, że nie śni. Wydawało jej się jeszcze przed chwilą, iż lepiej rozumie śmierć aniżeli życie. Śmierć jako coś nieuchronnego, bardzo oczywistego i nierozłącznie splecionego z życiem. Była świadkiem tylko jednej śmierci, i to przedwczesnej. Ojciec jej nie miał nawet 80 lat, przed wypadkiem był w pełni sił i zdrowia. Ale wiedziała, że w wieku stu kilkadziesiątu lat każdy musi umrzeć. Nie przychodziło jej do głowy, iż tę barierę da się odepchnąć w czasie albo w ogóle zwalić. Po prostu nie myślała o tym. Zadawała się świadomością, że ma przed sobą najwyżej stulecie nadziei na szczęśliwy traf, który pozwoli jej wylądować na Ziemi. A teraz, kiedy to przemożne marzenie dziewczyny nagle się spełniło, kiedy pałała radosną perspektywą spędzenia całego życia pod błękitnym niebem — dowiadywała się, że to życie nie musi zawrzeć się sumą stu albo dwustu lat. Ogarnął ją podziw dla osiągnięć ludzkiej myśli, a zarazem poczucie potęgi.

— A więc nawet do tysiąca lat? — zapytała.

— I grubo więcej — odparł Andrzej. — Obecnie człowiek żyje przeciętnie półtora stulecia. Ale badania nad możliwościami daleko posuniętej regeneracji tkanek, właśnie teraz, w ostatnich paru latach, zdają się wychodzić z impasu.

Wisienka zamyśliła się:

— Więc taka jest Ziemia, takie jest na niej życie...

Andrzej spojrział na zegarek.

— Jedziemy. Najwyższy czas.